

Czego potrzeba wnukom?

W 46 rocznicę Powstania Wielkopolskiego

W jednym z reprezentacyjnych punktów nowego Poznania wyrasta pomnik, stawiany ojcom przez synów. W intencjach budowniczych pomnika, ma on być jeszcze jednym, monumentalnym śladem wyzwolenczego zrywu Powstania Wielkopolskiego 1918—1919, dowodem holdu i wdzięczności dla jego uczestników. Wreszcie trwałym przekazem pamięci narodo- wemu adresowanemu do wnuków i prawnuków tych Wielkopolan, którzy 27 grudnia 1918 roku przekreślili swym czynem powstańcym efekty wiekowej akcji kolonizatorskiej przemocy pruskiej.

Nieależnie zaś od tych intencji budowniczych pomnika, staje się on także wyrazem lub jeśli ktoś woli — trwałym dowodem umię- jętnego rozszyfrowania przez pokolenie synów, decydujące o tera- żniejszości ludowej Wielkopolski, skomplikowanego procesu historycz- nego ostatniego półwiecza. Trafnego, sprawiedliwego, jedynie słusz- nego powiązania w jeden organicznie spójny ciąg tego co narodo- wozwolenie, z tym co społeczno-wyzwolenie. Dowodem troski o to, by nie uronić niczego z najpiękniejszych tradycji naszej dzielnicy. By przekazać je w możliwie najpełniejszym bogactwie.

Łatwo też można udowodnić, jak w praktyce najnowszej historii Wielkopolski, patriotyczny ładunek wyzwolenczej aktywności Po- wstania 27 grudnia 1918 roku, przenika do wydarzeń, których głów- nymi bohaterami byli już synowie weteranów spod Zbąszynia czy Szubina.

Sięgniemy po przykład, nieomal symbolizujący, zaczerpnięty z książki Feliksa Róg-Mazurka „Poznaniacy w walce o Cytadeli” stanowiącej kapitalne źródło do dziejów wydarzeń z początków 1945 roku. Na stronie 49 opublikowana została fotokopia zaświadczenia, wydanego przez starszego lejtnanta Armii Radzieckiej Jurina, jed- nemu z polskich towarzyszy walk przeciwko hitlerowcom. Oto frag- ment początkowy (w moim tłumaczeniu z rosyjskiego oryginału):

„Jan Kaczmarek, urodzony 13. V. 1922 roku w Podgaju pow. Środa, syn ho- jownika o niepodległość Michała (...) brat w lutym 1945 roku aktywny udział w zdobywaniu Cytadeli miasta Poznania, jako dowódca polskiej samodzi- elnej grupy bojowej...”

A więc syn powstańca — cytadelowcem.

Można co prawda, przykładając znowu niesłusznie miarki innym regionów naszego kraju do wydarzeń 1945 roku na terenie Wielko- polski, powiedzieć: było ich tylko dwa tysiące. Rzecz w tym, iż nie tylko dwa tysiące i nie tylko w końcowej fazie walk o Poznań.

Przytoczmy przykładowo choćby fragment dziennika hitlerowskiego dowódcy „Abschnitt Warthe”, prowadzonego podczas walk o Po- znań. Pod datą 26 stycznia 1945 roku (jest to dzień pierwszego sztur- mu armii gen. Czujkowa) kronikarz zapisał:

„Radzieckie wojska wdarły się do Lubonia. Polscy bandyci zaatakowali w nocy kwaterę odwodowego plutonu 475 batalionu. Jeden podoficer ciężko ranny w pierś...”

Żywiołowa pomoc bojowa Wielkopolan, okazywana przed dwudzie- stu laty wyzwolenczej Armii Radzieckiej, była zjawiskiem powszech- nym, ogarniającym tereny całej dzielnicy.

23 stycznia 1945 roku major Pomazniew, zastępca dowódcy bry- gady pancernej, która wyzwoliła Gnieźno, relacjonując generałowi Popielowi, członkowi Rady Wojennej 1 gwardyjskiej armii pancernej przebieg działań bojowych, stwierdza:

„Jeśliśmy szturmowali na odlew, zastawilibyśmy w Gnieźnie wszystkie czołgi... Trzeba podziękować Polakom: uprzedzali o wszystkich zasadkach; gdyby nie ich pomoc, byłoby wiele ofiar...”

Podobnie dowódca brygady, legendarny już wówczas pułkownik Gusakowski:

„Polacy prowadzili ulicami, wskazali koszarę, wzięli opór (hitlerowców), stanowiska ogniowe. Jeśli zaś znasz siły nieprzyjaciela i ich rozmieszczenie, to, rzecz jasna, tylko walczyć. Walczyć można i nawet całkiem prosto. Ogólnie rzecz biorąc, Polacy przez cały czas okazali nam duże usługi... Aż żal, że wkrótce się to skończy. Germania tuż, tuż...”

W roku 1945 Wielkopolanie, działając na rzecz sojusznika radziec- kiego, spełnili — na miarę potrzeb chwili — ten obowiązek aktyw- ności wyzwolenczej, który w roku 1918 ich ojcowie, pozbawieni so- jusznika musieli spełniać samotniczo.

Choćby z tego względu, pokoleniu Wielkopolan, które aktywnie przeżyło rok 1945, nie potrzeba tłumaczyć, jakie wartości ludzkiej działalności powinien uwiecznić pomnik Powstańców 1918 roku. Czym jednak będzie dla pokolenia wnuków, szczęśliwców urodzonych już w latach pokoju, uwolnionych spod dziejowego przymusu konty- nuowania z pokolenia na pokolenie zbrojnej walki o wolność?

To prawda, że będą znali dzięki podręcznikom historii wartość efektów Powstania Wielkopolskiego. Ale też chyba tylko tyle. Wszel- kie bowiem syntety historyczne (a na nie tylko siłą rzeczy miejsce w podręczniku), mają to do siebie, że trudno tam spoza sumarycznych zdań wyłowić bohaterów w ich ludzkich wymiarach.

Jeśli więc chcemy, by dla wnuków i prawnuków Powstańców Wielkopolskich, czyn wyzwolenczy 27 grudnia był bliski jako suma ludzkiego bohaterstwa, ludzkiej aktywności, trzeba uzupełnić syn- tety historyka, literackim obrazem bohaterów.

Można chyba apelować do poznańskiego środowiska literackiego, by idąc śladem historyków (którzy w ciągu ostatnich kilku lat dali szereg cennych prac pozwalających należycie ocenić Powstanie Wiel- kopolskie) przyczynili się do zachowania w pamięci pokoleń nie tylko instytucji Powstania, ale także jego bohaterów.

*) Obsadzał skraj lasu Dębina.

Można powiedzieć, że był to rok przejściowy. Po Układzie Moskiewskim, zawartym w 1963 roku, ożywiły się na świecie nadzieje na to, że droga — jaka stanęła otworem — doprowadzi do dalszych porozumień i że krok za krokiem przybliżać się bę- dzimy do realizacji najważniejszego celu: całkowitego i powszechnego rozbrojenia. Nikt nie miał złu- dzeń, że będzie to proste i łatwe. Toteż wszystkie dalsze posunięcia na tej drodze, choć skromne, wita- ne były z uznaniem i zadowoleniem. Zmniejszenie produkcji ma- teriałów rozszczepialnych, przezna- czonych na cele wojskowe, czy też nawet radziecko-amerykańska współpraca w odsalaniu wód mor- skich — skromne, wycinkowe poro- zumienia — zgodne były z duchem Układu Moskiewskiego i w tym sa- mym zmierzały kierunku.

Nie oczekiwano w stosunkach między Wschodem a Zachodem wiel- kich wydarzeń w 1964 roku. I nie było w tym nic dziwnego. Amery- ka, jedno z dwóch wielkich mo- carstw, których dialog najbardziej się liczy w procesie odprężenia — sparaliżowana była do dnia wybo- rów, które miały rozstrzygnąć, czy linia Kennedy'ego będzie kontynu- owana, czy też do władzy dojdą siły spod znaku senatora Goldwata. Zmiana ekipy miała nastąpić też w Wielkiej Brytanii. Wszystko to spra- wiło, że rok miniony był rokiem oczekiwania.

Rozwiązania, jakie przyniosła je- sien tego roku, miały jednoznaczna wymowę. Wybierając Lyndona Johnsona, Ameryka wybrała pokój i odprężenie, odrzuciła awanturnic- two i niepewność, odrzuciła pro- gram zimnej wojny i polowań na czarownice. Było to zwycięstwo roz- sady. Tym większe, że odniesione zostało w kraju doprowadzonym do stanu wrzenia na tle konfliktów ra- sowych, w kraju, w którym po śmierci Johna Kennedy'ego do gło- su doszły najsłabsze reakcyjne poglądy.

Jednoznaczna wymowę miały też angielskie wybory. Harold Wilson od długiego już czasu uosabiał w opinii publicznej Wielkiej Brytanii dążenie do zmian, które mogłyby przyczynić się do polepszenia sto- sunków między Wschodem a Za- chodem. Występował on przeciw planom utworzenia wielostronnych sił nuklearnych NATO, w których wszyscy rozsądnie myślący ludzie widzieli groźbę dla procesu odprę- żenia, przeciwko dopuszczeniu Niem- ców zachodnich do decydowania w sprawach broni jądrowej, przeciw- ko roszczeniom terytorialnym wy- suwanym przez rząd w Bonn.

Nie tylko w Wielkiej Brytanii od- czuwało się coraz silniej dążenia do poprawy stosunków między Wscho-

dem a Zachodem. Coraz więcej gło- sów tego rodzaju słyszeliśmy rów- nież w innych krajach europejskich i pozaeuropejskich. Pokojowe współ- istnienie zajmowało poczesne miej- sce w wielkich spotkaniach krajów Afryki i Azji; dążenie do odpręże- nia znalazło też wyraz w konkret- nych już zamierzeniach większości krajów Ameryki Łacińskiej do przekształcenia tego kontynentu w strefę wolną od broni atomowej.

Bez efektownych fajerwerków, bez głośniejszych obwieścić, powoli, ale konsekwentnie torowała sobie drogę idea porozumienia. Był to proces, który przyrównać można do drażenia skały przez krople wody...

Nie zmieniło się jedno: nie zmie- niły się metody, do których ucie- kali się również w przeszłości zwo- lennicy starego i nowego kolonia- lizmu. Wojna w Południowym Wiet- namie, prowokacje wobec Wietna- mu północnego, intrygi w Laosie,

Zofia Artymowska

GWIAZDKA NADZIEI

Kambodży, Malajazji, Cypr, Kuba i Kongo — są tego przykładem.

Sprawa kongijska może być trak- towana jako model klasycznych na- wet nie neokolonialnych, ale zwy- kłych kolonialnych metod, jakie stosowano i przed 100 laty. Zmie- niła się tylko broń i sprzęt od cza- sów, kiedy twórcy imperiów stoso- wali „politykę kanonierek”. Prze- moc i zbrodnia, mordowanie kobiet i dzieci, to wszystko, co zdarzyło się w Kongo za sprawą obecnej in- tencji było — jak powiedział dele- gat Ghany w Radzie Bezpieczeń- stwa ONZ — „ostrzeżeniem i przy- kładem tego, do czego zdolny jest imperializm”.

Ale nawet te „ostateczne środki”, do jakich współcześni kolonizatorzy uciekają się, gdy grunt usuwa się im spod nóg, nie potrafią zahamo- wać rozpadu kolonializmu. Najlep- szym tego dowodem jest dzisiaj skład ONZ, do której przybywają wciąż nowe wolne kraje i dołączają swój głos do głosu tych, którzy walczą o wolność i równość małych i wielkich narodów. O to — jak po- wiedział nowy premier ZSRR, Ale- ksiej Kosygin — żeby wszystkie narody na równi mogły korzystać

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY
tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 167 27. XII. 1964

Rok IV

z dobrodziejstw procesu odprężenia.

W procesie tym Polska odgrywa istotną rolę. Początek roku 1964 stał pod znakiem kolejnej naszej inicjatywy — Planu Gomułki, pro- ponującego zamrożenie zbrojeń ja- drowych w środkowej Europie. Kon- cepcja stref bezaatomowych, leżąca u podłoża poprzedniej inicjatywy polskiej — Planu Rapackiego — zdobyła wielu zwolenników również na innych kontynentach. A koniec roku 1964 stał pod znakiem nowych propozycji, złożonych przez mini- stra Rapackiego w ONZ i dotyczą- cych zwołania poświęconej proble- mom bezpieczeństwa konferencji wszystkich państw europejskich.

W sytuacji, kiedy Niemcy zachod- nie swą polityką rozszczeń teryto- rialnych i odwetu, swą polityką osłaniania zbrodniarzy odpowie- dzialnych za śmierć milionów, swą polityką opartą na dążeniach do uzyskania dostępu do broni atomo- wej — stwarzają w centrum Euro- py stan napięcia — głos Polski ma doniosłe znaczenie. Wyplwa on nie z uprzedzeń, ale z twardych do- świadczeń historycznych i z trzeź- wej oceny dzisiejszej sytuacji.

Zmiany w kierownictwie radziec- kim nie wpłynęły na zmianę poli- tyki zagranicznej ZSRR. Z wiel- kim naciskiem nowi przywódcy podkreślają, że wytyczną tej poli- tyki jest leninowska linia, przyję- ta przez XX i XXII Zjazd, a jej celem — jest praktyczna realizacja pokojowego współistnienia.

Droga do jego realizacji stoi otwo- rem: Związek Radziecki, jak to nie- dawno stwierdził minister Gromy- ko w ONZ, gotów jest do rokowań „na każdym forum i na każdym szczeblu”. I na szczeblu najwyż- szym. Czas, który nadchodzi, ma- dać odpowiedź na pytanie, co w za- mian za tę gotowość ma do zaofer- rowania Zachód. Jeśli chodzi o nas — możemy powiedzieć, że uczyni- liśmy wszystko, aby gwiazdka 1964 roku była gwiazdką pokojowych nadziei.

Mieczysław Skąpski

W kinie stagnacja?

Do niedawna kino było najpotężniejszym dystrybutorem tego co nazywa się kulturą masową — wzruszeń, doznań, informacji, refleksji, rozrywki. Od paru lat kino ma wielkiego konkurenta telewizję. Na całym świecie kinematografia jest w odwrocie, tv zabiera jej widzów. Ale kinematografia się broni, niekiedy skutecz- nie, niekiedy nawet podejmuje ofensywę. Jak to wygląda w polskim kinie?

W latach 1957—1963 polskie kina straciły bez mała 1/3 widzów. W woj. poznańskim nieco mniej, ale spadek z 14,6 mln. do 10,7 mln. widzów jest także dotkliwy. Był on większy w Poznaniu niż w województwie, które dopiero od kilku tygodni objęte zostało niemal w ca- łości zasięgiem tv. Ale to właśnie ukazuje bezpośrednio związki między tymi dwoma gigantami masowej kultury.

Oczywiście, przyczyn spadku liczby widzów w kinach jest więcej, sama tv nie jest jedynym „winowajcą”. W wymienionym okresie podro- żały bilety w kinach (rok 1958), co od razu zredukowało widzów o kil- kanaście (!) procent, wtedy gdy tv była w powijakach. W tym okresie przybyło Polsce około 100 000 samochodów osobowych, 800 000 moto- cykli i skuterów, 300 000 turystów PTK, 200 000 wczasowiczów FWP, 150 000 polskich wycieczkowiczów za granicą i... około miliona telewi- zorów. Za wszystkie wymienione przyjemności trzeba płacić, wszystkie

Dokończenie na str. 2

Feliks Biłos

Zwyczajni ludzie

Już w samym sposobie, jakim inżynier Władysław Gilarski rozmawiał z podwładnymi, można było wyczuć stan wew- nętrznego skupienia, a zarazem nie znośzący sprzeciwu stanowczości. Nie zdradzał też zbytnio ochoty do rozmowy.

— Jestem tu dopiero od roku — mówił — roboty huk, dużo planów i zamierzeń. Zobaczymy co z tego wyjdzie. Przyjdzie za rok, dwa — może będzie o czym napisać.

Wówczas przed dwoma laty nie wiedziałem, że inż. Gilarski przy-

slany został do Oleśnicy niemal na warunkach komisyjnego zarząd- cy. Od lat psuło się bowiem coś w organizmie przedsiębiorstwa. Dy- rektorzy zmieniali się bez przerwy. Tutejsi ludzie przywykli do tego; bawiła ich na swój sposób ta niet- stanna karuzela, a niektórym sy- tuacja taka była bardzo na rękę. Nim nowy dyrektor zdążył się zo- rientować co i jak, poznać mocne i słabe strony załogi, już ktoś pod- stawiał mu stołek, na którym się przewracał.

NIECO HISTORII

Kluczem Oleśnicą, wraz z przy- ległymi folwarkami, władali prawie 120 lat obszarnicy niemieccy. Do- kumenty mówią, że w roku 1830 Antoni Grudziński sprzedał do- bra chodzieskie i oleśnickie Niem- cowi Ferdynandowi von Zacha. 18 lat później nabył je minister pru- ski, hrabia Otton Koenigsmark. W

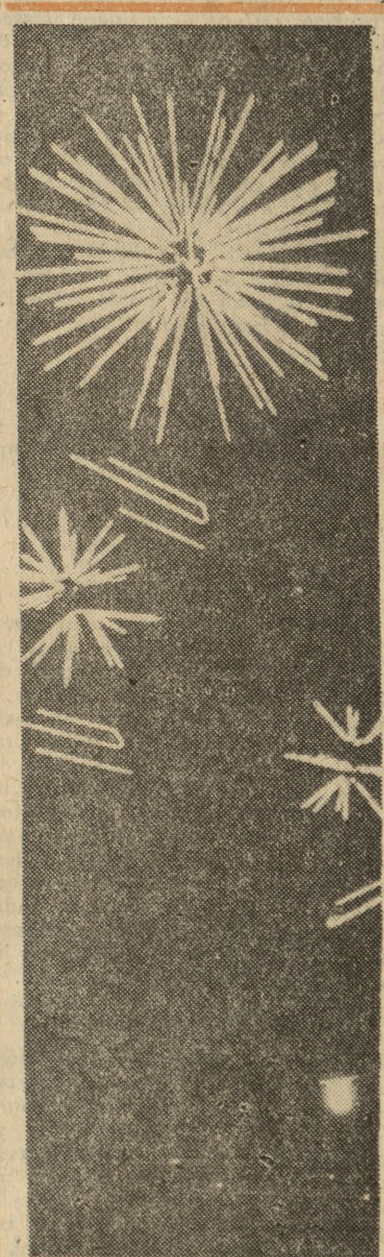
roku 1922 Oleśnica staje się wła- nością Rohusa von Lüttwita, w którego rękach pozostała aż do wy- zwolenia.

O tamtych czasach najstarsi pra- cownicy: dziadek Stróżyna, stary brygadziści Antoni Sadek, stróż Michał Chmielewski i inni — opo- wiadają dzisiaj różne historie. Su- che sformułowania biegłego sądo- wego dr. Tilgnera z Poznania, który w takcie z r. 1926 pisał, że „w trzech grupach wydatków nieprodukcyj- nych nastąpił poważny spadek tyko w dziale ubezpieczeń społecznych”, że „ograniczano konsekwentnie wszelkie wydatki na towary i świad- czenia” — przywodzi starym wspomnienia o „terminatkach” roz- syłanych na gwiazdkę, o zatłoczonych izbach czworacznych i nę- dzach fornalskiego życia.

Pierwszym dokumentem naszego 20-lecia jest protokół z zebrania

oleśnickiej załogi 9 lutego 1945 r. W porządku obrad figurował wy- bór 5-osobowej Rady Nadzorczej majątku, w drugim — wybór człon- ków milicji, mającej chronić oca- lałe dobra. Kolejny protokół z otwar- cia kasy ogniotrwałej mówi, że zna- leżona gotówka została komisynie, w obecności sołtysa i Rady Nadzor- czej, przeliczona i przekazana na wypłatę zaległej robocizny. 1 marca Rada zwraca się z pismem do Wój- tostwa w Chodzieży o zmianę za- rzadcy, jako że ten „nie raczył się zainteresować sprawami majątku i przez 4 tygodnie nie poczynił żad- nych kroków, aby prace w gospo- darstwie zorganizować”. Motywując swą prośbę specyfiką gospodarstwa uprzemysłowionego (gorzelnia, płat- karnia, młyn, stawy rybne) załoga domagała się przysłania zarządcy z odpowiednimi kwalifikacjami.

Dokończenie na str. 2



Fot. — K. Przychodźki

Irena Solińska

Tradycja czyli wszystko o karpie

PERSONALIA

Cyprinus carpio, ryba z rodziny karpowatych, wszytkożerna. Żyje w jeziorach i wolno płynących rzekach, zlewiskach Morza Śródziemnego, Czarnego, Kaspijskiego, Aralskiego, w dorzeczu Amuru i wodach Chin. Występuje też w odmianach zdżdziałych. W Europie hodowany od XIII w. W Stanach Zjednoczonych od 1880 roku — sprowadzony z Polski. Oznaka karpia są 4 wazy, orqana dotyku i smaku, oraz bardzo długa płetwa grzbietowa. Długość do 1 metra, waga do 20 kg.

GŁOS — SMAKOSZOM

„Wiślane karpie są najsmakniejsze i ważą do 10 funtów. W Dnieprze i Dniestrze poławiają się jeszcze większe i są bardzo tłuste, wybornego smaku” — pisał Adam hr. Plater przed wiekiem z okładem. Wyliczał także walory Carpio regius, czyli karpia królewskiego: „Grube zwierciadlane łuski jego całego ciała nie pokrywają, lecz w wielu miejscach części nagej skóry zostawiają. Rzadszy jest w Wiśle od właściwego, lecz mięso ma smaczniejsze od tego pierwszego”.

„Karpię żyjące w rzekach są uważane przez znawców w palacach za mające mięso najbardziej delikatne” — oto słowa samego Izaaka Waltona, autora „biblii” wędkarskich pokoleń, wydanej w 1653 roku pod tytułem „Wędkarz doskonały”.

DŻENTELMENI I TAJEMNICE ALKOWY

Karpie są niesłychanie płodne — to jeden z ważnych atutów hodowlanych. W czasie tarła samiecka zwykła składać ikre na przybrzeżnej trawie, lub na liściach roślin nadwodnych. Asystują jej w tym 3 lub 4 karpie męskiego rodzaju. Jeśli partnerka poczuje się słabo, dżentelmeni pomagają jej powrócić na bezpieczną głębie, podtrzymując ją z obu stron w czasie wędrówki.

Ale i karpie „stadło” burzy czasem... ten trzeci! Widomym znakiem jest „nieślubny” dubiel, potomek karpia i karsia. Dubiele w hodowli — to czarne owce. Ale do samczek trudno mieć w tym wypadku pretensje.

ZASŁUGA SZLACHCICA Z SUSSEX

„Chmiel, indyki, karp i piwo w jednym roku do Anglii przybyło to dziw”.

Kiedy to było? Autor słynnego „Wędkarza doskonałego” twierdzi, że najprawdopodobniej było to w połowie XVI wieku, a ten doniosły fakt jest rzekomo zasługą niejakiego Mascala, szlachcica z hrabstwa Sussex. Wkrótce przyspiano do szlucnej hodowli karpia, co nie następowało z razu bez przeszkód. Walton relacjonuje, iż pewien gentleman sposterzał w stawie karpia pływającego z... żabą na głowie! „Po tym zdarzeniu polecił osuszyć stawy, a z 17 czy 18 karpia (wpuszczonych) znalazł jedynie 5 lub 6 i to bardzo chorych i chudych i z żabą przyczepioną do głowy każdego tak mocno, że żaba nie mogła się odczepić bez pomocy wielkiej siły, albo zabicia jej”.

ZAMIAST KAWIORU

Niezrównany Walton twierdzi, że we Włoszech sprzedają Żydom ikre karpia zamiast kawioru, przemieniając ją na czerwony kawior, ponieważ Żydom religia zabrania jeść kawior jesiotra. Podobno był to świetny interes.

MIEŚKO KOCIE Z MIODEM

Łowienie karpia to istny ceremonial! Wędkarze świetnie orientują się w tym „co karpie lubieją”. Podstępnie dokarmiają, dogadają, aby pewniej na haczyk! Oto stary przepis na pastę służącą jako przynętę: „Należy poćwiartować drobno mięso kota lub królika, dodać makę z fasoli, cukru lub miodu. Można wmieszać nitkę wełnianą białą lub żółtą. Wszystko wymieszać i uformować w kółki. I jeszcze stara dobra rada: „Jeśli będziecie łowić karpia na robaki mięsne, dodajcie do waszego haczyka mały kawałek materii szkarłatnej, umywszy go lub namaściwszy w oliwie saletrzaną”...

RYBKA DLA ZAGRANICY

Karp to mocna ryba. Potrafi znosić trudy podróży, co oczywiście skrzętnie wykorzystujemy w handlu zagranicznym. Przed wyjazdem ryby się „odpija” strumieniem wody oczyszczając dokładnie skrzela i skórę z pasożytów. W magazynie przebywają w wodzie bieżącej. Temperatura w basenie musi mieć około 18 stopni, a

Dokończenie na str. 4

Pięć lat temu w numerze noworocznym z 1 stycznia 1960 roku przedstawiłmy naszym Czytelnikom nowożeńców — Krystynę i Zbigniewa Andrószowskich, rozpoczynających swój pierwszy małżeński rok. Obydwoje kończyli wtedy Politechnikę Poznańską, mieszkali w skromnym sublokatorskim pokoju i marzyli... o swym przyszłym mieszkanku, o pracy, która zaspokoi życiowe ambicje, o dzieciach, które jak mówiła p. Krystyna „muszą mieć oczy Zbyszka”, a jak mówił młody inżynier „muszą mieć oczy Krystyny”.

Ulica Hibnera 27 — to jeden z nowszych bloków mieszkalnych Spółdzielni Młodych. Pierwszy od ul. Głogowskiej. Tu właśnie od trzech lat mieszka nasze młode małżeństwo.

— Z marzeń pierwsze spełniło się po roku — mówi z uśmiechem gospodyni domu. Piotruś ma już 4 lata. — A za rok będę u starszaków — informuje z powagą chłopiec, który właśnie przed chwilą głośnym „mamusi, jakaś pani!” zaanonsował moją wizytę, złożoną młodym inżynierom z okazji ich maleńkiego jubileuszu.

— Jak dotąd wszystkie nasze zamierzenia nabierają realnych kształtów — mówi p. Zbigniew Andrószowski. — Dwa lata mieszkaliśmy w sublokatorskim pokoju. Znosiliśmy jednak tę niewygodę z cierpliwością, mieliśmy bowiem perspektywę otrzymania mieszkania, na które — jak pani wie — zaczęliśmy odkładać już dwa lata przed ślubem.

Rozglądam się po mieszkaniu. Jest urządzone skromnie, ale wygodnie. Stosy książek zalegają prowidorycz-

nie półki w przedpokoju. W planie jest meblościanka przeznaczona na książki. Nie, nie ma jeszcze telewizora, ale jest lodówka i pralka. Chodzi bowiem o to, aby p. Krystynie — starszemu konstruktorowi Biura Konstrukcyjnego Wielkopolskich Zakładów Teletechnicznych — jak najbardziej ułatwić spełnianie obowiązków domowych. Małżonek — główny mechanik Poznańskich Zakładów Obuwia — chętnie zresztą pomaga w tych zajęciach.

— Pamięta pani. Na prezent ślubny kupiłem żonie książkę kucharską. Bardzo nam się przydała. Obydwo-

Barbara Mosiężna

Na dorobku

RODZINA PO PIĘCIU LATACH

je kuchcimy dziś zupełnie nie najgorzej.

— Proszę pani, a my mamy motocykl — wtrąca Piotruś.

— Dla Piotra liczy się tylko ten nabytek — śmieje się p. Krystyna. Kupiliśmy go w tym roku i całe lato robiliśmy wycieczki w okolice Poznania. Piotr był naturalnie w siódmym niebie.

Wśród radości notowanej w kalendarzu życia tych trojga, poczesne miejsce zajmuje awans p. Krystyny z konstruktora na starszego konstruktora.

— Pracuję w Sekcji Telegrafii Wielokrotnej. Dużo zawdzięcza-

kierownikom Sekcji — inżynierowi Gracjanowi Koczałkowi i inżynierowi Jerzemu Bulskiemu, laureatom Nagrody Państwowej III stopnia, którzy wytworzyli w naszym dziale klimat ambitnej twórczej pracy. Nasz zakład ma duże perspektywy rozwoju. Wkrótce przeprowadzimy się do nowych pomieszczeń przy ul. Bułgarskiej, powiększając o 1/3 załogę zakładów.

— Nie tylko wy powiększacie załogę — wtrąca Zbigniew Andrószowski. Do Poznańskich Zakładów Obuwia trafiłem 3 lata temu właśnie w momencie rozpoczynającej się

modernizacji i rozbudowy. W tym czasie zakupiliśmy nowe maszyny, dobudowali jedno piętro hali produkcyjnej i unowocześnili wszystkie urządzenia sanitarne. Jasne, że te zmiany pozwoliły nam powiększyć produkcję. Obecnie przechodzimy na pełną drugą zmianę.

Długo jeszcze gawędziłmy na różne tematy związane z życiem i pracą młodych inżynierów. Zbigniew Andrószowski jest bowiem pełnomocnikiem zakładów do spraw budownictwa mieszkaniowego — spółdzielczego i ma z tym różne kłopoty. Jest też prezesem Koła PTTK. Uważa, że turystyka jest najlepszym od-



poczynkiem po pracy i tą ideą postanowił zarazić swych kolegów. Początki zostały zrobione. Była już wycieczka na Mazury, są w projekcie inne, jeszcze ciekawiej pomyślane.

Mówiliśmy też naturalnie o planach rodzinnych na przyszłą małą, 5-letnią. Piotruś chce mieć siostrzyczkę i to koniecznie Małgosię. Wysoka rada rodzinna projekt zaaprobowała w terminie najbliższych dwóch lat. Co do reszty — poinformujemy naszych Czytelników rzetelnie i wyczerpująco za następne 5 lat.

Zwyczajni ludzie

przyjmuje żadnych skarg, że cokolwiek się zdarzy — racja będzie po mojej stronie. Jednak zawsze starałem się przekonać załogę, dlaczego podejmuję takie, a nie inne decyzje, informowałem o planach, finansach i zarobkach. Wprowadziłem też żelazną zasadę: jaka praca taka płaca. Byłem przekonany, że od tych ludzi można wymagać.

SYMPTOMY NOWOCZESNOŚCI

Podobno nowe porządki pierwsze poparły kobiety, które instynktem gospodyń oceniły, że nie musi być tak źle, skoro ich mężowie przyniosą więcej niż poprzednio pieniędzy. Same również przestały zajmować się tylko domem. Dziećmi zajęło się przedszkole, więc mogły wyjść do pielienia plantacji buraczanych.

Dyrektor nie bawił się tu w żadne pogadanki uswiadamiające. Zebrał kobiety i powiedział: mogę wydać na prace pielęgnacyjne około pół miliona złotych. Od was tylko zależy, czy pieniądze te wpłyną do waszej kieszki, czy wypłacone zostaną ludziom z zewnątrz.

Za dobrą pracę i dobry plon buraka, oprócz normalnych dniówek, wypłacono po zbiorach dodatkowo 40 tysięcy złotych premii. Można więc było myśleć o kupnie radia, pralki, okazałych mebli a nawet telewizora.

Maluchy zaczęły popisywać się wyuczonymi w przedszkolu wier-

szkami i piosenkami; znalazły się środki na dowożenie dzieci starszych klas do szkoły w Chodzieży; otwarto kursy dokształcające dla tych, którzy nie ukończyli siedmiu klas szkoły podstawowej; powstały zespoły przysposobienia rolniczego, na których robotnicy uzyskują tytuły kwalifikacyjne i mistrzowskie; od września tego roku młodzież po siódmej klasie może uczyć się dalej w miejscowej zasadniczej szkole rolniczej; ogródki jordanowskie i klubo-kawiarnia; kino i teatr co dwa tygodnie...

— Do niedawna wzorem było dla nas gospodarstwo Nietuszkowo — mówi przewodniczący Rady Zakładowej. — Dziś możemy sobie pozwolić na rywalizację nie tylko z Nietuszkowem, ale i z niedoścignionymi, zdawałoby się, Strzelcami. O naszych sukcesach świadczy chociażby 270.000 złotych, wypłaconych w ubiegłym roku gospodarczym z tytułu funduszu zakładowego.

Niedawno dyrektor Gilarski sprowadził do Oleśnicy resztę swoich mebli. Było to widomym znakiem, że nie myśli stąd uchoć. Nawet garstka potencjalnych wicherzycieli, którym śnią się jeszcze „dawne dobre czasy”, wyciągnęła z tego właściwe wnioski. A „srogi szef” obserwuje z satysfakcją wzrost poziomu materialnego i kulturalnego kolektywu i mówi z dumą: daj Boże zawsze mi pracować z takimi ludźmi.

FELIKS BIŁOS

W kinie stagnacja?

Dokończenie ze str. 1

one absorbują czas, odcinając tym samym od kina. Ale znowu nade wszystko odciąga telewizor, bo płaci się co miesiąc raty, a jeśli już nie, to abonament, który trzeba „wypatrzyć”, no i mając grata w domu nie chce się ryzykować wyjścia do miasta, gdzie wcale nie wiadomo, czy zobaczy się coś ciekawszego niż w tv. Ostatnio wprawdzie w zasadzie ryzyka takiego nie ma, matadorzy kinematografii zaciera ręce („oby tak dalej!”), ale czasami przecież człowiek się skusi w swojej nieskończonej skłonności do złudzeń („Najpiękniejsze w życiu są złudzenia”).

Tegoroczny plan finansowy Wojewódzkiego Zarządu Kin w Poznaniu wykonał 12 grudnia, choć nie miał w repertuarze takich szlagierów jak „Krzyżacy” albo „Przeminieło z wiatrem”. Zadecydował ponoć wzrost liczby kin panoramicznych, których mamy obecnie 32 (w 1959 — 4), co najmniej jedno w każdym powiecie. Czy to znaczy, że trzeba wszystkich kina modernizować bo zwykłych mamy dość? Na 1000 mieszkańców Włochy mają obecnie 91 miejsc kinowych, Wielka Brytania 70, NRF 52, Kanada 50, NRD 32, Polska 22,4. A przecież w tamtych krajach tv poczyniła niemałe spustoszenia w kinach, wiele z nich trzeba było zamknąć. Widać więc, że jesteśmy daleko w polu w rozwoju sieci kin, że moglibyśmy tu jeszcze wiele zrobić. Chyba nas jednak na to nie stać, skoro do 1970 roku sieć kin ma się utrzymywać w zasadzie na tym samym poziomie. Gorzej, że od kilku lat sumy na zakup aparatury i budowę kin stale maleją.

W woj. poznańskim w 1957 r. mieliśmy 217 kin z 36 634 miejscami. W 1963 r. były 224 kina z 38 206 miejscami. Różnica doprawdy niewielka. A więc stagnacja? I co ma być dalej? Bo coś przecież trzeba robić. Ludności przybywa, a co do wyjątkowych walorów ideowo - wychowawczo - rozrywkowych kina jesteśmy chyba zgodni.

Sposoby są, na pewno jednak zbyt kiepsko wykorzystywane. Pierwszy to reklama. Cóż, takie jest prawo rynku, że w przypadku nasycenia go towarami łatwiej się sprzedaje ten towar, który jest lepiej reklamowany. U naszych sąsiadów, w Czechosłowacji i na Węgrzech 15—20 procent wpływów kin przeznaczają się na reklamę filmów, na zachodzie bywa że nawet połowę. W Polsce 1 (słownie: jeden) procent. Dobra, częsta i właściwie nakierowana reklama pozwoliłaby może wyeliminować takie anomalie, jak to że częstotliwość chodzenia do kina wynosi w Turku 14,4, w Nowym Tomysku 13,6, a w Pile 6,5, w Wągrowcu 5,5 i w Kościanie 5,4. Oczywiście, już na pierwszy rzut oka widać, że częstotliwość chodzenia do kina jest mniejsza tam, gdzie ludność ma stare tradycje inwestowania w mieszkanie, gdzie więc obecna sytuacja na rynku (możliwość nabycia artykułów trwałego użytku) skłania ją do

oszczędzania. Ale sugestywna reklama miałaby tu zapewne wiele do zrobienia.

Kina mogą się bronić, nie godząc się na zbyt wczesne dopuszczanie filmów do wyświetlania w tv. I robią to. W wielu krajach (USA, Anglia, Francja i inne) w zasadzie w ogóle nie wolno wyświetlać filmów w tv. Film jest dla kina. Ale tv też potrzebuje filmów. Tylko że innych, krótszych, seryjnych, jednym słowem telewizyjnych. Centrum światowej kinematografii — Hollywood — chyliło się już ku upadkowi. Ostatnio się odradza... dzięki tv. Przetawiono się tam bowiem na masową produkcję filmów telewizyjnych. W Polsce od paru lat tylko się zapowiada te telewizyjne serie.

U nas polskie filmy mogą być wyświetlane w tv w 1—2 lata po swej kinowej premierze, a zagraniczne filmy (z krajów, które się na to zgadzają) — po pół roku. Obecnie umowę się zmienia i zagraniczne też znajdą się w tv dopiero po 12 miesiącach (czarno białe), bądź nawet po 15 miesiącach (kolorowe), polskie po 2 latach.

Ale to tylko obrona. Idzie o metody ofensywne, jak reklama, modernizacja kin, przebudowa na kina panoramiczne (film panoramiczny w tv pokazać nie można). Widzowie zaś doceniają w pełni walory szerokiego ekranu. Kino w Murowanej Goślinie miało w 3 kwartałach 1963 roku 5 300 widzów, a w takim samym okresie 1964 r. (po przebudowie na panoramiczne) — 18 700 widzów. W Opolewku w tym samym czasie 1963 r. tamtejsze kino obsługiwało okoliczne wsie (w objęciu miało 14 600 widzów, w 1964 r. natomiast (po przebudowie) miało widzów 29 700 grając tylko na miejscu.

Ale i z budowy zwykłych kin nie należy chyba rezygnować. Skoro państwa na to nie stać, należałoby się chyba znowu odwołać do czynów społecznych, chociaż w dziedzinie kultury nie są one ani w połowie tak popularne, jak np. w budowie dróg. Przy tym ciągną się niekiedy w nieskończoność, jak w Buku, gdzie przebudowa opuszczanego budynku na kino trwa... 11 lat, a końca jeszcze nie widać. Czy tak być musi? Osiągnięcia ochotniczych straży pożarnych we wschodnich powiatach województwa wskazują, że nie. OSP po przygotowaniu funduszy i materiałów potrafi w ciągu półroczu czy roku postawić piękny gmach, gdzie na parterze znajduje się remiza strażacka, a na piętrze duża sala dla występów estradowych i projekcji kinowych (ze stałą aparaturą) i parę innych pomieszczeń. W samym powiecie konińskim OSP mają 19 takich wiejskich kin (większa sieć niż państwowych!).

Na wsi sporą część ludności obsługiwać mogą kina ruchome, więc się ich wręcz domaga. Niestety, tabor się rozlatuje, a i dobre wozy stoją niekiedy z braku ogumienia. A przecież kina te obsługują w Poznanskim rocznie około miliona widzów. Czy zamierzamy z tego rezygnować?

Kino nie musi trwać w stagnacji. Kino może atakować. Ale trzeba się do tego zabrać. Energicznie i konsekwentnie.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Rok 1944 dobiegał końca. Był to więc okres ostatnich przygotowań do późniejszej zwycięskiej ofensywy radzieckiej. Wolnością cieszy się już północna i południowa Francja, we Włoszech kampania wojenna chyli się także ku końcowi. Hitlerowcy jednak, obłędnie wierzący w zwycięstwo, robią co mogą, ślą transporty wojskowe we wszystkich kierunkach. Nic dziwnego, że pociąg, którym jadą Cegielszczacy posuwa się bardzo wolno. Osiem dni trwa już ich podróż. Przedtem jednak...

Alarm lotniczy był niespodziewany. Od czterech lat nie się wielkiego nad Poznaniem nie działo, a tu nagle alarm — w pierwsze święto Wielkiejnocy, w biały dzień, w samo południe. W tym momencie kilka tysięcy pracowników „Cegielskiego” nie bardzo zdawało sobie sprawę, jak potoczą się ich dalsze losy.

Po godzinie było już po wszystkim, samoloty alianckie odleciały, pozostały zgłiszczą znacznej części fabryki. Dla setek ludzi nagle — ku ich nietajonej radości — zabrakło konkretnej pracy. Lecz już po kilku dniach — i doraźnym zatrudnieniu Polaków przy porządkowaniu zgłiszcz — ruszył pierwszy transport do Niemiec. Pierwszy, lecz nie ostatni.

6 listopada wezwano Mariana Janowskiego do Sauerweina — dyrektora oddziału — jednego z najbardziej fanatycznych hitlerowców. Taka wizyta nigdy nie zapowiadała nic wesołego. Zawsze, ilekroć kogo wysyłano do obozu koncentracyjnego, wszystko zaczynało się od gabinetu dyrektora. Mariana o tym wiedział. Pożegnał się ze swymi współpracownikami, tak na wszelki



wypadek. Po 15 minutach był już na powrót z przyjaciółmi.

— Jutro jadę do Brenet — oświadczył krótko.

Brenet? Ki diabeł, gdzie to jest? Marian odpowiedział wzruszeniem ramion, sam nie bardzo wiedział.

Nazajutrz rano w fabryce spotkał około 400 osób, które tak samo jak on trzymały w dłoniach swój podręczny bagaż. Wiedzy wszyscy już wiedzieli, gdzie leży ów Brenet. Wystarczył rzut oka na mapę.

Marian zdziwił się kiedy transport zatrzymał się na stacji Laufenburg. Pada rozkaz — wysiadać! Jedyni Wachmani mówiący po polsku — Matuzewski (jeszcze wówczas nawet nie posiadający obywatelstwa niemieckiego, lecz — za cenę posiadania pistoletu — dający wszelkimi siłami do tego celu) wyjaśnia — „tu będziecie mieszkali, Brenet leży 16 km dalej”.

„Obóz” (baraki) otacza las — jedyna radość. Natomiast komendant nieprzejętny. Wszystkiego w nim po trochu, brak tylko człowieczeństwa. Typ o twarzy zbója, Ukrainiec urodzony w Polsce, a do tego belgijski volksdeutsch.

Następnego dnia Marian bacznie obserwuje drogę, jaką przebywa pociąg z Laufenburgu do Brenet. Cały czas tor biegnie wzdłuż szosy, z chodzącymi po niej patrolami straży granicznej z jednej strony i wartko płynącym Renem z drugiej. Po stronie niemieckiej obowiązują zaciemnienie, na tamtym brzegu Renu rozbiłszy się fajerwerk światła wolnego kraju.

Czwartego dnia, do pracującego w magazynie stali Mariana podszedł Wacek Gwizdański. Nachylając się konspiracyjnie do ucha szepnął — „dziś w nocy trzech z pięciu baraków uciekło do Szwajcarii”. To powiadałszy znikł jak widmo.

Marian pozostał sam z myślami, które opanowały jego umysł od momentu wyjazdu z Poznania. Uciekać! Ba, ale jak?

Zbliżają się święta. Marian notuje w dniu 23 grudnia dwudziestą ucieczkę. Po świętach pierwsza wpadka. Niemcy łapią kogoś na granicy. Wachmani chodzą dumni, niczym pawie. Powiadają — „widzicie, nie warto uciekać, tak świetnie pilnujemy naszych granic”. Marian myśli: „Durnie, a tych dwudziestu to co?”

W połowie drogi, między Laufenburgiem a Brenet leży miejscowość

Napisał Janusz Marciszewski



Relacja z wydarzeń, o których piszemy, nie była jeszcze dotychczas nigdzie publikowana. Mówi ona o trudnych latach pracy Cegielszczaków w czasie okupacji hitlerowskiej. Jest to wspomnienie dziennikarza „Głosu”, który przed 20 laty był obserwatorem i zarazem uczestnikiem tych wydarzeń. Wszystkie opisane przypadki są autentyczne, zmieniono jedynie nazwiska uciekinierów. Prawie wszyscy oni powrócili po wojnie do Poznania, a znaczna ich część pracuje do dziś w HCP.

Saeckingen. Niemiecką i szwajcarską część miasta łączy most kryty gontowym dachem. Most jest nieczynny, ale od strony niemieckiej stoi warta. Tuż obok mostu, dokładnie doń przylega — domek mieszkalny. Po drugiej stronie wjazdu na most — wartownia. I ten most, a właściwie jego dach wykorzystali Mucha do swej ucieczki. Wszedł przez nikogo niezauważony na dach mostu. I teraz zaczął się najtrudniejszy moment. Dach jest z obu stron spadisty, przeprawę utrudnia gruba pokrywa śniegu.

Mucha powoli, centymetr po centymetrze czołga się w kierunku zbawczej Szwajcarii. Most ma długości nie więcej niż 80 metrów. A Mucha czołga się już cztery godziny

Od zachodu co raz częściej dochodziły odgłosy wojny. Szczególnie w nocy, donośnie grzmiały działa frontu, znajdującego się aktualnie w okolicach Strasburga we Francji. Front jednak nie zbliżał się, na co liczili poznaniacy w Brenet i Laufenburgu.

Wreszcie i Marian ruszył w drogę. Dobrał sobie towarzyszy w osobach Stanka i Oleksiewicza. Z obozu wyszli w nocy. Pod Laufenburgiem zamierzali zmontować z leżących tuż w pobliżu Renu desek i bali — tratwę. Jakis dziwny ruch na szosie w odległości kilkudziesięciu metrów od rzeki, utrudniał zadanie. Cała trójka wobec tego podejmuje decyzję — jedziemy pociągiem do Blombergu. „Zielona granica”, umożliwiająca przejście suchą nogą do Szwajcarii pociąga jak magnes. Wsiadają do pociągu. Za miejscowością Waldshut, do wagonu wchodzi gestapowiec. Kontrola dokumentów i... wpadka. Marian i jego koledzy trafiają do więzienia w tej właśnie miejscowości. Cały potężny gmach przepełniony tymi, którym nie udało się „skok”. Przeważają Francuzi i Włosi, Polaków zaledwie kilku. Nie ma oprócz Stanka, Oleksiewicza i Mariana nikogo z Cegielszczaków.

Co będzie dalej?

Marian trafia do celi „francuskiej”. Ich czterech i on jeden. Niewesoło. Wywniesiona z poznańskiego gimnazjum skromna raczej francuszczyzna nie pozwala na ożywioną konwersację. Nie ma zresztą o czym mówić. Jakby na ironię okna celi wychodzą na Szwajcarię.

Ktorego dnia strażnik wywołuje nazwisko — „Janowski do komendanta”.

Na korytarzu czeka już Oleksiewicz, obok gestapowiec. Pada pytanie dość zaskakujące — „czy chcecie pomóc przy wykopywaniu i rozminowywaniu niewypalonych bomb zrzuconych na niemiecki kraj przez niegodziwych amerykańskich lotników?”

Marian wymienia porozumiewawcze spojrzenie z Oleksiewiczem. Zgoda. Niech się dzieje co chce, byle nie siedzieć beczynnie.

Jedna z bomb leży w pobliżu fabryki w Brenet. Inna wypaliła, zabijając poznańskiego robotnika. Marian, Oleksiewicz i jeszcze dwóch więźniów niemieckich zajeżdżają przed fabrykę. Jest niedziela. Pełno znajomych. Przyjechali na pogrzeb zabitego kolegi. Po pogrzebie przylgają się dramatycznej walce o zlikwidowanie niewypału. Trzymają zaciśnięte pięści — za szczęście Mariana i Oleksiewicza; o obu Niemcach nikt nie myśli. Nawet majstrowie a także dyrektorzy widzą tylko dwóch Polaków — ich przeciw robotników. Z ulgą przyjmują wszyscy chwilę, kiedy niewypał staje się nieszkodliwy.

W tym samym czasie, kiedy rozminowywano niewypał sprzed fabryki ruszył ciężarowy samochód, odwożący pracowników do obozu w Laufenburgu.

Marian dopiero później dowie się, że po wyładowaniu ludzi przed obozem, kierowca Józef Pilecki, w towarzystwie Andrzeja Strzygi i jeszcze trzech innych, nie wrócił do bazy w Brenet.

Samochód ruszył dalej na wschód. Gdzieś na wysokości szwajcarskiego — znanego z zegarków — miasta Schaffhausen, Pilecki zatrzymał wóz. Granica przebiegała 50 m od szosy, wystarczył niemal skok, aby znaleźć się poza zasięgiem hitlerowskich strażników. Nie było ich zresztą w pobliżu.

W jakiś czas potem niemiecki Grenzschutz ze zdziwieniem zauważył stojący na poboczu szosy pusty samochód. Zaczął trąbić na kierownicę, niecierpliwie się coraz bardziej, że ten nie raczy się zjawić.

W fabryce, na drugi dzień wachmani chodzą wściekli. Niejeden robotnik obrywa przy okazji spotkania się oko w oko ze strażnikiem.

Tymczasem Oleksiewicz z Marianem nocują „gościnnie” w więzieniu, w Saeckingen. W najbliższej okolicy było jeszcze parę bomb do rozminowania.

Ilustr. Ryszard Skupin

przed chwilą uciekł Jurek Witkowski.

Marian z niedowierzaniem pyta — gdzie, jak?

O pół do pierwszej (w południe) przepłynęli w dwóch Ren. Przyglądałem się temu ze wzgórza tuż za Laufenburgiem — grzmi Mietek. Cały obóz jest tym poruszony. Szykują się inni. Musimy też uciekać. Znasz przecież drogę. Pójdzie z nami Stefan Sinicki. Tu Mietek blagalnie spojrzał na Mariana.

Ano, pójdźmy, zobaczymy odważnych, chętnych mroźnej kąpieli.

Odważył się znaleźć. O czwartej po południu popłynęli — Stanisław Szczęk i Władysław Przybysz. Marian, Mietek i Stefan patrzą ze wzgórza, jak Szczęk płynnie najkrótszą drogą do przeciwnego brzegu. Przybysz mocno znosi. Nie wyjdzie już nigdy na żaden brzeg. Utonął tuż przy szwajcarskim terytorium. Obserwatorzy z niemieckiej strony jeszcze jednak o tym nie wiedzą. Myślą, że Przybysz „wyładował” za gestymi zaroślami, które zasłaniają widok.

Dłatego też natychmiast znajduje się następna dwójka kandydatów. O 18.30 do wody skacze najpierw Bogdan Szurpita. Jest już na środku rzeki, kiedy jeden z najmłodszych mieszkańców Laufenburgu 18-letni Jurek Siwak idzie w jego ślady. Od tego momentu, do usłyszenia strzału karabinowego upłynęły zaledwie sekundy. Co się rozegrało za skarpą pozostanie chyba na zawsze tajemnicą, skarpa zasłaniała bowiem patrzącym ze wzgórza widok na brzeg rzeki. Na szwajcarską stronę wyszedł tylko Szurpita.

Wydarzenie to nie wprawiło Mariana w optymizm, choć Mietek i Stefan nie przestali nalegać na wprowadzenie w czyn próby ucieczki. Marian wreszcie decyduje — „jedziemy”!

Pół godziny potem wszyscy trzej siedzą już w pociągu, zdążającym przez Brenet do Grentzach. Dalej pociąg nie kursuje. Za miastem zaczyna się Szwajcaria, a jeszcze dalej Francja i przebiegająca tuż linia frontu.

Droga przechodzi raczej spokojnie, bez przeszkód. W Grentzach, na ulicach pusto, pogoda zresztą wygania ludzi z ulic do domów. Topniejący śnieg zamienił ulice w grzaskie bajora. Nasza trójka dochodzi wreszcie do rozwidlenia dróg. Nagle w lewej odnodze Stefan — w świetle księżyca zauważa, wynurzającego się strażnika. Mietek demonstracyjnie spogląda na zegarek, a kulejący Marian oparty o łaskę, kieruje już kroki w prawo. Mietek spogląda do tyłu. Strażnik stoi i patrzy w ich stronę. Są już jednak dość daleko, a tuż znajdują się zakręty. Natychmiast za nim cała trójka błyskawicznie skacze na pole, szybkim biegiem zdąża do pobliskiego lasu. Chwilę potem znikają wśród drzew. Na moment przycupnęli dla odpoczynku, rozejrzeli się, a tu w ciemnościach wylania się stromy stok. Na górze błyskawia od czasu do czasu jakieś światła. Co robić? Światła pojawiają się dość nieregularnie.

Miną co najmniej dwie godziny, zanim nasi uciekinierzy zdecydują się na wspinaczkę. Gdy będą już na szczycie, przekonają się, że to nie żadne światła napędziły im tyle strachu, lecz najzwyczajniejsze gwiazdy, które przesłaniały poruszane przez wiatr gałęzie drzew.

Droga prowadzi ciałem przez las. W pewnym momencie wyrasta nowa przeszkoda — parkan z kolczastego drutu. Dwadzieścia metrów dalej jeszcze jeden, a w samym niemal środku kwadratowa tablica z białym krzyżem pośrodku. To gość Szwajcarii.

Bez trudności uciekinierzy przebrnęli przez obie przeszkody. Była godzina 23.40. Nagle zaczęli mówić głośno i odważnie w swoim ojczystym języku, czego im przez pięć lat brutalnie zakazywano. Nie zatrzymanym przez nikogo doszli do przedmieścia Bazylei. Tam w otwartej jeszcze o tej porze kawiarni, jeden z gości, na wieść o przybyciu uciekinierów z Niemiec zdziwiony zapytał: „Jak to się stało, że nie zatrzymała was nasza straż graniczna?”

Naiwny — pomyślał Marian, lecz poczuł, że napięcie do tej pory — do ostatnich granic — nerwy odmożyły mu posłuszeństwa. Drżącą ręką zapalił szwajcarskiego papierosa.

Wreszcie był wolny!



Kruczkowski a la Ford

„PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI”. Film produkcji polskiej. Scenariusz (wg sztuki Leona Kruczkowskiego): Bohdan Czesko. Reżyseria: Aleksander Ford. Wykonawcy: Tadeusz Lomnicki (Jan), Beata Tyszkiewicz (Inga), Tadeusz Fijewski (dr Rhode), Ryszard Barycz (Michał), Krzysztof Chamiec (Hieronim), Roman Kłosowski (Karol), Mieczysław Stoor (Paweł), Elżbieta Czyżewska (Luzi) i inni.

Film ten był oczekiwany z dużym zainteresowaniem. Przynajmniej z dwóch względów: że zrobiono go na podstawie sztuki, która obszła sceny chyba większości polskich teatrów (nie wspominając już o zagranicznych) i sprawdziła się jako utwór świetnie rozwiązany dramaturgicznie i o bardzo ważkich problemach moralno-filozoficznych. Drugi wzrost do osoby reżysera, Aleksandra Forda, twórcy „Ulicy Granicznej”, „Młodości Chopina”, „Piłki z ulicy Barskiej” i „Krzyżaków”, a więc filmów, które spotkały się z powszechnym uznaniem, przy czym — co warto podkreślić — występowała

FILM

tu raczej wyjątkowa zgodność opinii krytyki filmowej i szerokiej publiczności.

Pokazał się znowu od najlepszej strony. Myślę, że niewiele można by zarzucić temu, co miał tu do zrobienia reżyser. Zrezygnował z wyprawek akcji poza powierzchnię jednego pomieszczenia, w plener, na ulice miasteczka, umiejętnie zacierając ślady tego, że pierwotnym filmem jest sztuka teatralna. Bardzo dynamicznie rozegrał sceny batalistyczne, w których jest przecież mistrzem. Aktorów trzymał tak w ryzach, że nie pozwolił nikomu na przerysowanie roli (nawet Leśniakowi, któremu zdarzyło się chyba po raz pierwszy grać z takim umiarem), a gdy takie przerysowanie się zdarzyło w przypadku półk. Ostrowskiego (Kazimierz Rudzki), znalazło ono wyraz nie w grze, lecz w słowie czyli w scenariuszu.

Ci, którzy znają sztukę, stwierdza, że Ford nie zaqubił żadnego istotnego wątku czy problemu sztuki, natomiast rozegrał dzieło Kruczkowskiego na wskroś filmowo, wzbogacając w artystyczne i techniczne możliwości tej dziedzinie sztuki (szeroki ekran, zbliżenia, plenery, ilustracja muzyczna itp.). Angażując olejając świetnych aktorów w znacznym stopniu zapewnił Ford sukces filmu. Rola Lomnickiego i Fijewskiego stanowią kreacje, które muszą pozostać na długo w pamięci, podobnie jak i Beaty Tyszkiewicz, pierwszej gwiazdy polskiego filmu.

Film jednakże nie jest równy, ma sceny słabsze obok znakomitych, ma też fragmenty, które trzeba po prostu uznać za niedobre. Tu wymienimy całą ekspozycję filmu dziejącą się w obozie jenieckim, gdzie poznajemy bohaterów. Cała ta ekspozycja wygląda jak wycięta z „Eroiki” Munka, zwłaszcza, że akurat w akcji bierze udział kilku tych samych aktorów z jakże charakterystycznym Rudzkim na czele, że ta sama sceneria i podobnie zarysowane sytuacje i charaktery. Ten wstęp, jak i sceny powrotu pieszo droga pełna wojsk zdających na zachód uważamy za zbędne. Dobry film rozpoczyna się właściwie w miejscu, gdzie rozpoczął swa sztukę Kruczkowski. To co potem dodano do sztuki (sceny batalistyczne itp.) zrobiono celowo i słusznie. A w ogóle dobrze, że rzecz przeniesiono na ekran.

TELEWIZJA

Pozwólcie tym razem odstąpić od zwyczajowo już przyjętej oceny programu minionego tygodnia. Korzystając ze świąteczno-noworocznej okazji, chciałbym kilka uwag poświęcić telewizji w ogóle.

W ciągu tego kończącego się już roku niewiele było recenzji, w których nie wytykałem telewizji różnorakich ułomności i potknięć redakcyjno-programowych. Najczęściej dotyczyły one, niestety, publicystyki, rzadko tylko posługującej się podstawową formą telewizyjną, a więc obrazem, a za to bardzo często nadużywającej rozmów w studio. Wiadomo: rozmowa rozmowie nie równa. Czasem może to być pasjonujący dialog, pełne spieć i polemik, starcie kilku osób reprezentujących odmienne poglądy na tę samą sprawę, czasem wystarczy tylko osobowość rozmówców, lub ich dowcip czy umiejętności narratorskie. Takie rozmowy nie potrzebują na ogół nawet wkładek filmowych czy plansz, żeby zainteresować widzów. Ale nie trafiają się one często.

Niestety, bardzo dużo jeszcze trafia się monologów, dialogów lub rozmów wieloosobowych, nieciekawych lub wręcz nudnych. I najgorsze w tym jest to, że tam, gdzie aż się prosi o obraz, zastąpić go musi słowo. I to nie zawsze wypowiadane w dobrej formie. Dlaczego tak się dzieje? Generalne obwinianie twórców programów telewizyjnych o niedostatek umiejętności byłoby niesprawiedliwe i krzywdzące. Większość z nich wie doskonale, co i jak należy zrobić, żeby i treść była dobra, celna, zaangażowana społecznie, pożyteczna et cetera, i forma interesująca. Pomijam tu rzeczy chybione czy wręcz kiepskie w pomysłach i realizacji, bo to może się zdarzyć najlepszemu nawet autorowi.

Jedną z poważnych przyczyn słabych stron naszej Telewizji są trud-

ności finansowe. Na te fundusze, którymi dysponuje redakcja naczelna (nie mówiąc już o redakcji poznańskiej), polski program jest aż nadto dobry. Tajemnica „gadanych” programów tkwi w tym, że najmniej kosztuje opłacenie rozmówcy. Pokazanie planszy już podnosi te koszty. Bez porównania droższy jest film czy transmisja. Limit tej ostatniej w całości wyczerpują zresztą różne imprezy typu oficjalnego, artystycznego lub sprawozdania sportowe. I nikt nie zamierza kwestionować słuszności takich transmisji. Wręcz

Marian Flejsierowicz

Krótki kołderka

przeciwnie — stale ich za mało, a w przypadku Poznania są rzeczą wręcz niemożliwą z tej prostej przyczyny, że nasza redakcja nie ma wozu transmisyjnego, mimo iż stara się oń od kilku już lat (może rok przyszył będzie laskawczy?). A filmy? Ich produkcja też jest bardzo droga. I w tym zapewne też tkwi istotny powód tak powolnego realizowania zapowiadanych od dawna specjalnych filmów telewizyjnych, odpowiadających specyfice szklanego ekranu.

Trudności finansowe, to zjawisko dość znane i naszym działaczom gospodarczym i różnym przedsiębiorstwom. W przypadku Telewizji, sprawa jest o tyle dziwna, że wymagamy od niej — i słusznie — żeby uczyła, wychowywała, kształtowała oblicze społeczeństwa, agitowała, uświadamiała, informowała, bawiła, przejmowała rozliczne inne tego rodzaju funkcje, trafiając do wszystkich: od mieszkańców Marszałkowskiej począwszy, a na tych spod strzech skończywszy. Przy tym

wszystkim — żeby przynosiła wysoki dochód. Ten ostatni warunek spełnia na pewno. Obliczmy. Mamy w kraju 1 600 000 zarejestrowanych telewizorów. Właściciel każdego z nich płaci 40 zł miesięcznie. Miesięcznie daje to 64 000 000 złotych, a rocznie 768 milionów. Oczywiście, cała ta suma nie może być wykorzystana tylko na program. Pamiętajmy o kosztach budowy i eksploatacji stacji TV, urządzeń przekazywających, aparatury studyjnej itp. Ale obok tych 768 milionów trzeba również wziąć pod uwagę dochód, jaki państwo przyniosła produkcja i sprzedaż aparatów.

Nikt nie chce, żeby telewizja była instytucją deficytową, choć w przypadku teatrów, których oddziaływanie na masowego widza jest bez porównania mniejsze, uważa się — i chyba też słusznie — taki stan rzeczy za zjawisko dość normalne. Ale też nie jest dobrze skąpić środków temu, kto ich nie marnotrawi ani z punktu widzenia polityka, ani z punktu widzenia ekonomisty. Zwiększenie funduszy dla TV na pewno wpłynęłoby na poprawę programu, to zaś przyczyniłoby się do zwiększenia tempa „utelewidynienia” kraju, co z kolei powiększyłoby dochód z tytułu wpiat teleabonentów i produkcji oraz sprzedaży telewizorów. Ale gdyby nawet tak nie było, czas, by czynnik decydujący w tej sprawie, przyszył Telewizji z pomocą.

Od lat już przestała ona być „cudownym dzieckiem”. Telewizowie także przestali już oglądać wszystko co podłeci na zasadzie: „O rany, jakie to dziwne! My sobie ładnie w domu siedzimy i oglądamy takie różności!”. Praca wychowawcza telewizji przyniosła już wyniki: telewizyjny stał się wymagający. Chce programów coraz lepszych i ciekawszych. Chce i ma do tego poniekąd prawo. Płaci przecież. I niewiele go obchodzi, że ta finansowa kołderka, która była w sam raz dla „cudownego dziecka”, stała się już mocno za krótka dla dorosłego człowieka, jakim jest nasza polska TV.

Tradycja czyli wszystko o karpie

Dokończenie ze str. 2

różnica temperatury w czasie transportu nie może być większa niż 5 stopni. Sortyment I — to ryby ważące 1—2,5 kg. Na eksport nadają się wyłącznie sztuki „płochliwe”, a więc w pełni żywe, o błyszczących wypukłych oczach. Jeśli tych warunków nie spełniają, mogą jechać w świat tylko jako mrożonki.

„JAK ZAMIEŃIĆ KARPIA W DANIE SMACZNE...”

które czyni go godnym tych wszystkich wysiłków i tej cierpliwości? Oto przepis z połowy XVII wieku: Najpierw rybę wypatroszyć, lecz nie skrobać, zostawiając krew i watrobę. Związać peczek majeranku i pieprzuszki, dodać szczyptę rozmarynu i zapachu (savourey). Dołączyć je do waszki karpia z 4—5 cebulami, 20 ostrymi solonymi i 3 sardelami. Potem wylejcie na waszgo karpia tyle wina francuskiego ile potrzeba, by był nim przykryty i przyprawcie wasze wino francuskie gałką muskatową, skórkami pomarańczowymi i cytrynowymi. Gotować pod przykryciem. Po wycięciu wylać 1/4 funta roztopionego masła, ubitego z 6 łyżkami bulionu lub 2—3 żółtkami. Ubić trochę półmisek cytryny i podać. Może być pewni płynnego ślad zadowolenia...

A może rezygnując z savourey, rozmarynu, 3 sardeli, 20 ostrów i zastępując je winem francuskim bardziej swoim wypróbować ten przepis?

Smacznego!

IRENA SOLIŃSKA

Eugeniusz Pauksta

Na okres świąteczny

Załem tradycji stało się zadość. Mimo tłoku na maszynach drukarskich wydawnictwa zdołały jednak przystopować na okres świąteczny zestaw bardzo nieraz atrakcyjnych nowości. W trochę z konieczności telegraficznym skrócie postaram się tutaj przynajmniej najciekawsze pozycje zaawizować.

Jest niespodziewanie sporo wydawnictw albumowych, głównie z dziedziny sztuki. „Wiedza Powszechna” opublikowała cenna, bardzo przejrzyste napisaną pracę Joanny Guze „Impresjonizm”. Nareszcie otrzymujemy studium fachowe i bardzo obiektywne o tym kierunku w sztuce, który tak wiele zaważył na dzisiejszym dniu malarstwa. Książka jest ilustrowana, ale tutaj nasuwa się do wydawnictwa pewna pretenzja: czy ilość ilustracji nie jest stanowczo zbyt szczupła? W tym wypadku oszczędność wydaje się chyba niewskazana. W „Arkadach”, które odzyskują się raczej rzadko swymi publikacjami, ale skoro już, to wydany na wysokim poziomie, otrzymaliśmy nareszcie w opracowaniu M. Masłowskiego piękny album „Julian Falat”, poprzez doskonałe reprodukcje ukazujący dorobek tej nieco legendarnej indywidualności twórczej, a poprzez omówie-

nie Masłowskiego ukazujący artystę tak w swojej epoce jak w ogólnym rozwoju sztuki polskiej.

„Sport i Turystyka” występują z uroczą, doskonale napisaną książką Stanisława Siedleckiego „Dom pod biegunem”, jeszcze jedna praca z kręgu „polarnych”. Zdjęcia krajoznawstwa i śniegu są naprawdę urzekające.

A teraz krótki rejs po wydawnictwach. Oto witraż PIW-u. Na czoło wysunąłbyśmy nowy już tytuł z serii książek o dziejach kultury. Pierre Montell’a „Życie codzienne w Egipcie”. Monografia ta ukazuje Egipt w czasie najpełniejszego rozkwitu, w epoce Ramessydów, ze szczególną uwagą zwróconą na możliwie pełny obraz ówczesnej cywilizacji. Znajdzie wielu zwolenników książka Jacquesa Levrona „Nieznaną Pani de Pompadour”, kapitalna w koncepcji próba ukazania głębszej faworyty Ludwika XV w bardziej pozytywnym świetle, niż to czyniono dotychczas. Autor opanuje ja widzieć jako kobietę-polityka, protektora sztuki, jako wybitny umysł swojego czasu. Można życzyliwie widzieć takie intencje, ale nawet lektura tej pozycji, doskonale uduku-mentowanej ówczesnymi świadectwami nie może przyćmić tej opinii o pięknej markizie, jaka zwała się z jej pamięcią wyrazistym symbolem królewskiej nalożności.

PIW także publikuje nową powieść Juliana Kawałca „Tańczący jastrząb”, usiłującą w afektacji i przekonujący sposób ukazać ostrość konfliktów ty-

powych dla naszej współczesności, a wynikających z rozdarcia wewnętrznej ludzi przeżywających gwałtowny przeskok w relacji wieś—miasto, gdy cechy obu struktur społecznych przenikają się częstokroć w silnym dramacie.

Z przekładów wymieńmy nade wszystko nowy tomik „celofanowej” serii poetyckiej, tym razem „Poematy” Wiliama Szekspira w przekładzie i z komentarzem Macieja Słomczyńskiego. Obok niedawno opublikowanych „Sonetów” otrzymujemy zatem z tym tomikiem całosć niedramatycznej twórczości Szekspira. Rewelacja wydawnicza jest niewątpliwie nowy tom J. D. Salinger’a „9 opowiadań”, świetnych, złożonych w swej warstwie psychologicznej, tak typowej dla autora powieści „Buszujący w zbożu”. Z zaciekawieniem na pewno przyjęta zostanie także „Odpowiedź” Tibora Déry, głosem pisarza węgierskiego, książka ukazująca w ciekawym wątku fabularnym Weary lat trzydziestych, okres prohitlerowskiej polityki rządu Horthy’ego.

Wydawnictwo Poznańskie opublikowało dwie powieści historyczne. Tadeusz Krzeczowski wydał „młodzieżową” powieść z czasów saskich „Pan Filip z Konopi” zwaną nurtem fabularnym silnie z Poznaniem i Wielkopolską, ciekawa w konstrukcji i w dobrze oddanej warsławie obyczajowej. Jednocześnie też ukazała się Stanisława Helżyńskiego saga z drugiej połowy IX wieku „Zmierzch Popielidów”, co w rodzaju „nowej

Starej Baśni”, utwór usiłujący w warstwie fikcji literackiej wtłoczyć dorobek wiedzy historycznej naszego czasu o początkach państwa polskiego. Próba jest w pełni udana: dobra, w miarę ciekawa, a zarazem bardzo pouczająca to powieść.

W MON-ie trzeba zwrócić uwagę na kolejny, trzeci tom wspomnianego głosem dowódcy partyzanckiego Józefa Sobiesiaka „Brygada Grunwald”. Tym razem w typowy dla siebie, sugestywny, mimo pełnej autentyczności opisu, literacki sposób oddaje boje brygady przerzuconej przez front na ziemie Kielecczyzny. Niejeden z czytelników sięgnie też po głosem już książkę Witolda Zalewskiego „Pruski mur”, w nowym, pogłębiłym widzeniu wracająca poprzez współczesność do czasu okupacji i wojny. Zalewski w doskonały sposób zdramatyzował ludzkie konflikty, na tym tle budując widzenie minionego czasu, wracającego przed pamięć nieodpartymi echemi.

W Wydawnictwie Literackim przede wszystkim powieść Józefa Hena „Toast” (na niej osnuty został scenariusz filmu „Prawo i pięść”) poprzez spleciony jak gdyby dramat ukazujący wielość konfliktów pierwszych miesięcy na ziemiach zachodnich. Mocna, tęga książka, choć na pewno zastanawiać może niekiedy zbyt jednostronnie zaocześnie widzenie zjawisk.

Z książką na ty

Przeglądamy Prasę

Chociaż święta, to jednak w czasopiśmie dużo miejsca poświęca się przede wszystkim tematyce gospodarczej; w końcu bowiem od tego, jaka będzie nasza gospodarka, zależy będzie chociażby to, co może się znaleźć na świątecznym stole. A gospodarka to skomplikowana dziedzina życia, jako że nie zawsze wszystko się tak udaje, jak zaplanowano. Pisz o tym m. in. Zygmunt Szeliga na łamach „Tygodnika Demokratycznego” w artykule pt.

WIADOME I NIEWIADOME

Zdaniem autora planowanie gospodarcze i praktyka gospodarcza coraz bardziej upodabniają się do rozwiązywania zadań matematycznych. Określamy pewien cel, posiadamy pewną liczbę czynników znanych, ściśle określonych oraz jakąś ilość „czynników x” — nie znanych, nie określonych, albo możliwych do określenia tylko w przybliżeniu (np. sytuacja międzynarodowa, sytuacja na rynkach światowych, urodzaj w rolnictwie, sytuacja demograficzna). Oczywiście, dąży się do tego, aby były one możliwie najmniej, albo w każdym razie — aby były one

możliwie z największym prawdopodobieństwem określone. Wszystkich czynników „x” nie podobna jednak we współczesnej praktyce gospodarczej wyeliminować.

Praktyka wykazuje, że nie zawsze najlepiej nawet zaplanowane wskaźniki udaje się w pełni egzekwować. Tak jest np. w dziedzinie inwestycji. Autor pisze w związku z tym:

„Bo chociaż grają tu spora rolę czynniki obiektywne problem bodźców, wskaźników, problemy organizacyjne itd. — to przecież, kto wie, czy nie pierwszoplanowe znaczenie posiadają właśnie owe elementy wiedzy, kwalifikacji, doświadczenia ludzi zajmujących się problemem inwestycji — na wszystkich szczeblach: od programowania do uruchamiania gotowych obiektów. Bo w ogóle warto może zwrócić uwagę, że nowy plan manifestuje i taka rzecz: współcześnie, w coraz to bardziej skomplikowanym organizmie gospodarczym, coraz większą rolę wśród sił wytwórczych spełniać zaczyna siły twórcze zakumulowane w głowach ludzi. Jedną z najbardziej kosztownych inwestycji stają się powoli nie inwestycje na budowę nowych zakładów przemysłowych, ale wydatki na wyszkolenie rzeszy inżynierów, ekonomistów i innych fachowców. A w konsekwencji — stosunkowo coraz więcej w gospodarce zależy od tego, co ta armia ludzi posiada w swoich głowach. To staje się największym potencjałem wytwórczym.”

SPOŁECZNE INICJATYWY SUKCES NIECODZIENNY

To tytuł relacji Jerzego Słowińskiego o „Cegielszczakach”, którzy w czynie społecznym zbu-

dowali doświadczalny silnik agregatowy. Służyć on będzie — jak pisze autor na łamach „Trybuny HCP” (pismo ma nowa winieta tytułowa, lepsza niż dawna w graficznej kompozycji treści) jako silnik doświadczalny w celu systematycznego modernizowania i ulepszania produkowanych tam zespołów prądowców. W wykonaniu tego zobowiązania podjętego dla uczczenia XX-lecia Polski Ludowej szczególnie duży udział mają członkowie Brygady Pracy socjalistycznej Cegielskiego.

MŁODZIEŻ Z... PGR

W cotygodniowym felietonie na łamach „Głosu Nauczycielskiego” Mikołaj Kozakiewicz snuje rozważania na temat młodzieży z Państwowych Gospodarstw Rolnych. Relacjonując swoje spotkania z tą młodzieżą, autor stwierdza, że to co zobaczył zupełnie nie odpowiadał stereotypowym wyobrażeniom — począwszy od sposobu ubierania się, aż po to, co i ile młodzież ta czyta. Autor podkreśla:

„Nie mam wątpliwości, że na żadnym zebraniu przedwojennym wiejskiego aktywu „Wiel”, nie uzyskalibyśmy takiej proporcji młodych ludzi, którzy żyjąc i pracując na wsi ukończyli szkoły średnie.”

W zakończeniu publicysta pisze, że:

„trzeba pozbyć się krzywdzącej tę młodzież intonacji pobłażliwości i wyższości kryjącej się pod określeniem „ci z PGR”. Moje zdumienie i zaskoczenie z pierwszego zetknięcia z tą młodzieżą, jest jakąś pośrednią i skromną miarą przemian doko-

nających się w świadomości ludzi, także tych pochodzących z najbardziej odległych od większych ośrodków miejscowości i osiedli wiejskich. Jest też pocieszającym dowodem na przeżywanie się różnych negatywnych stereotypów i utartych klasyfikacji ludzi dzięki naszej rewolucji kulturalnej.”

AKTOR I TV

„Walka Młodych” przeprowadziła rozmowę z Gustawem Holoubkiem, który m. in. ciekawie mówi o nowocześnie gry aktorskiej: „Nowocześnie — jeśli już użyjemy tego słowa — grają dziś wszyscy. Od współczesnego aktora wymaga się, by interpretując rolę posługiwał się takimi środkami wyrazu, które nie rażą, które są niedostrzegalne dla widowni, a które jednak w sugestywny sposób potrafią działać na widza i przekonać go do odtwarzanej przez aktora postaci.”

Mówiąc zaś o telewizji, Holoubek stwierdza:

„Kiedys zapytał mnie ktoś, czy lubię występować w telewizji. Odpowiedziałem, że nie wiem. I to jest prawda. Nie ma tam miejsca na lubienie czy nie lubienie, jest cały czas lek, czy wszystko dobrze się skończy, bo warunki w jakich odbywają się spektakle telewizyjne stwarzają świadomość, że za chwilę nastąpi jakaś wielka katastrofa. Jeśli mimo to spektakl się udaje, wszyscy są radośnie zdziwieni, jedynie aktorzy znajdują się w stanie bliskim zawalowi i przysięgają sobie nie występować więcej w telewizji.”

A więc jeszcze jeden przyczynek do „krótkiej kołderki” (patrz artykuł — na tej samej stronie).

LEKTOR